

Joanna Magnor-Kozłowska

POCZTÓWKI Z LĘBORKA

Dedykuję Komuś bardzo dla mnie ważnemu, dzięki któremu mogłam przeżyć to wszystko...

Prolog

On i Ona. Żyli od pewnego czasu przeskakując epizody swojego życia, tworząc coś, co można po latach obejrzeć retrospekcyjnie na mentalnym biegu wstecznym. Obrazy te nigdy nie będą spójne, przeszłość nie ma bowiem struktury uporządkowanej, jest jak zbeletryzowana biografia znanych ludzi, na wiele rzeczy się po prostu przymyka oko, wiele się koloryzuje, resztę przyjmuje jako aksjomat. Według niektórych wierzeń od chwili poczęcia on miał przeznaczoną Ją, ona Jego. Podświadomie się szukali, bo gdy wreszcie, po latach pisania do siebie listów (czy ktoś jeszcze pamięta, jak to się robi?), zdewirtualizowali się sobie, od razu wytworzyły się między nimi pozytywne wibracje. Wcześniej znali tylko swoje charaktery pisma, cząstki swych myśli, elementy życiowych zdarzeń. Potem już nic nie było takie samo. Stracili spokój. Oboje.

Ten niepokój, odwieczny towarzysz homo sapiens. Gdy ona ujrzała go po raz pierwszy, miał jeszcze długie włosy, chodził z odrobiną nonszalancji paląc papierosy. Dobrze pachniał. Nie mogło być mowy o jakiejś dobrej wodzie, pachniał sobą. Ona od razu to wyczuła, a że zawsze była olfaktoryczna, poznała nosem, że to on. Pachniał listami i tym, co w nich przekazywał. Nieśmiało podziwiał jej drobne piersi siedemnastolatki, długie nogi, wsłuchiwał się z uśmiechem w jej szczebiot. Żyli tak razem a jednocześnie osobno, rozdzieleni siedmioma setkami kilometrów jeszcze bardzo, bardzo długo...

W lutym '92

Wysiadam. Długo to trwało, nim dojechałam. Ale jestem. I nie przeszkadza mi nawet niezbyt dobrze pachnący dworzec. Dlaczego zawsze tu tak „jedzie”? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast jedno: wita mnie tablica z napisem „Lębork”. To dla mnie najważniejsze. Niestraszny mi kapiący z nieba śnieg, wiatr, który biednemu zawsze w oczy, czuję się wielka i wyróżniona przez los. Marzyłam o tym od lat, by postawić tu stopę, w tym pięknym, acz wilgotnym i często nieprzystępnym miasteczku. W mieście skazańców. Różne ludzie mają marzenia, ja wiem jedno: osiedlę się tu, nie chcę już mieszkać na Śląsku, chcę żyć tu. Ale nie sama, chce być tu z nim, urodzić mu dzieci, wypowiedzieć mu coś w rodzaju swoistej przysięgi. Irracjonalne marzenia młodej studentki? Ano, zobaczymy jak się sprawy potoczą. Na razie oślepia mnie miłość, nie widzę więc miasta oczami turystki, którą przecież jestem, co by nie mówić. Powiedziałam rodzicom, że jestem z przyjaciółkami w Trójmieście. Rodzice.

Są 700 kilometrów stąd. Przez myśl im nie przejdzie, że ich jedyna córka popełni niedługo swoisty mezalians kulturowy (już słyszę pytanie: Mało to chłopców na Śląsku? No są, są, ale to nie to samo. Zważywszy na mój obecny stan ducha to już w ogóle nie to samo). Mam w sobie dużo siły, idealizm ogarnia mnie całą, choć przeżywam szok na widok wnętrza kamienicy, w której- jeszcze o tym nie wiem - przyjdzie mi zamieszkać.

Nigdy jeszcze nie widziałam tak zapuszczonej klatki schodowej, tak obskurnej elewacji, sama nie wiem, może mało w życiu widziałam? Dana mi jest nadludzka siła, ta sama, która pozwala nam przetrwać długie okresy niewidzenia, fizycznej nieobecności, bólu aż do końcówek włosów i paznokci. Siła, która przygnała mnie aż tu, całkowicie nielegalnie można rzec. Masz, masz to, co chciałaś, nie patrz więc teraz szeroko otwartymi oczami na zdemolowaną klatkę schodową, pijaczków w bramie żebrzących o przeddenominacyjne kilkaset złotych na tanie wino. Jesteś w Lęborku, czy nie tego właśnie chciałaś?

W czerwcu '93

Wyjdiesz za mnie? Tak, wyjdę za ciebie. Tego dnia wszystkie demony sprzysięły się, by ten ślub się nie odbył. Nie było nikogo, mezalians został popełniony w zupełnej ciszy, w asyście świadków, wiadomo, bez tego się nie da. „A lato było piękne tego roku...”, ano było. Ale po kolei. Świadek zapomniał dowodu, tym samym stracił wartość świadka. Nie było wesela, można postawić na luz, więc rowery, które chwilę później zostały skradzione i „odkradzione” złodziejom były w użyciu. Mały niuans w postaci braku obrączek również nie stanowił wielkiej przeszkody. Przecież można było kupić dwie różne. I postawić przed urzędnikiem dwie świadkowe, w tym jedną z łapanki. Dobrze, że widzów w tej parodii spektaklu było tak niewielu. Że mogę sama dziś uśmiechać się na widok swojej bluzki w groszki, samodzielnie wykonanej fryzury, białej lilii zamiast bukietu kwiatów, no bo przez tych złodziei rowerów z Chopina nie zdążyliśmy zamówić nic więcej, ba! Śmiem twierdzić, cudem zdążyliśmy na Mendehlsonna, który - tak się składało tego dnia, grał właśnie dla nas. „Biorę sobie ciebie za męża, abyś zadowalał mnie, ale i frustrował i kłopotał. Byś rozumiał mnie, ale i nie rozumiał. Byś pozwalał mi być, kim chcę, ale i narzucał swój sposób bycia. Byś szanował mnie, ale i śmiał się ze mnie. Byś był względem mnie wymagający, ale i niedorzecznie pobłażliwy. Byś był egoistyczny, ale i nadmiernie troskliwy. Byś był nieustępliwy i sprawiedliwy. Byś był dumny i pokorny. Biorę cię, by szanować, wspierać aż do śmierci”. Nie wiem, skąd ale ładne. Amen.

Ale, ale, co to zmieniło? Nic, trzeba wracać na Śląsk, zaciągnąć w nozdrza zapachy lęborskie, by karmić się nimi w chwili tęsknoty. Nie mamy nawet wesela, są łyzy, jest pociąg powrotny, czuję się jak przeciągnięta przez magiel, w przedziale wciąż się ktoś dosiada, to znów budzę się i jestem sama. Strasznie sama, Aniele Boży Stróžu mój... co ja teraz powiem mamie? Że wyszłam za męża? Za faceta z drugiego końca Polski? Ha, ha, ha. Śmiech przez łyzy. Jedyna córka poddaje się takiej samowoli. Z czasem wszyscy odnajdą równowagę psychiczną, dla każdego znajdzie się miejsce w nowej sytuacji, jakoś to będzie. „Jakoś”, byle to słowo nie nabrało zbyt wielkiego rozpędu. Ma być TAK, nie „jakoś”. Ale długo jeszcze nie będzie...

W sierpniu '94

„I przysięgam, że Cię nie opuszczę aż do śmierci...” Nim wypowiedzieliśmy sobie te słowa, spakowałam się do torebki, książki i ubrania grzecznie posegregowane w kartonach udawały się w stronę Lęborka, ja podążałam za nimi pociągiem. Ostatni raz żegnając swoje śląskie miasto...” Tak mi dopomóż Panie Boże wszechmogący w Trójcy jedyny i wszyscy święci...” Chcę tu być, chcę mieć tu swój dom, swoje drzewo, a nade wszystko swoje rośliny, korzonki, które wczepią mnie w atmosferę miasta, pozwolą mi uzyskać swoisty kaszubski paszport. Tymczasowy, bo przecież jestem Ślązacczą od wielu, wielu pokoleń.

Będzie ciężko, ale jeszcze o tym nie wiem... Na szczęście.

W maju '96

Trochę boli, ale czy to już? Czuję, że tak, ale nikt mi nie wierzy, no cóż, po tylu fałszywych alarmach. Snuję się po ogrodzie, sadzę cebulkę, gotuję, czytam, cierpię i cieszę się, bo dość już mam tego czekania! Martwię się czy nic się nie stało dziecku, już bardzo je kocham i nie wyobrażam sobie takiej sytuacji. Spacerujemy po parku, dziś nie dam rady wspiąć się na wieżę ciśnień, kręcimy się wokół stawu karmiąc łabędzie. Nad nami czołg, obrzydliwy pomnik niechlubnej przeszłości, na Boga, dlaczego on tam wciąż stoi? Teraz to już naprawdę mnie boli, muszę coś zjeść, by dać radę przejść przez ten maraton, jakim jest urodzenie dziecka. Od chwili wejścia do szpitala czuję się jak aktorka. Gram w filmie i... bawi mnie to. Już podczas przyjęcia na oddział tracę rezon. Na szczęście on zostaje, chce pierwszy zobaczyć nasze dziecko. Czuję się taka mało atrakcyjna, ale czy ktoś na to patrzy? Rozpada mi się warkocz, włosy przylepiają do spoconej twarzy, widzę siebie obcą w lustrze, bladą w czerwone kropki. On nie traci animuszu, rozwiązuje krzyżówkę „samica Mruczka na pięć liter”, „imitacja towaru”, „powieść Prusa”. Wszystko mnie wkurza. Położna kogoś mi przypomina i pachnie „Venezją” Laury Biagotti. Ładuję się do wanny, zanurzam w ciepłej wodzie, chcę, by wszystko się skończyło, niech ktoś zgasi światło, nie chcę już grać w tym filmie! Obmyślam plan ucieczki, położna zachowuje spokój, nawet wówczas, gdy uderzam głową w parapet. Tak bardzo pragnę być „nie w ciąży”! Po kolejnym badaniu położna stwierdza, że to czas i mam przeć. Gdy mój wysiętek osiąga apogeum, mam widzenie. Chrystus wyciąga do mnie rękę, a ja tak bardzo chcę tę dłoń podjąć! Widzę też wszystko z góry i ból zatracca swoją moc. Niestety, jakieś silne szarpnięcie sprowadza mnie na ziemię. Resztkami sił wypycham córkę na świat. Cztery kilogramy szczęścia, bystre oczka, zdziwiony wyraz twarzy. Moja roślina, mój korzonek, mój pomost, dzięki której trochę bardziej się zaaklimatyzuję na lęborskiej ziemi.

On przynosi mi tulipany, zachwycony patrzy na swoją progeniturę, przyszłość narodu i pyta: „A jak będę kochać ją bardziej?”. To pytanie nie powinno było paść. Obrażam się.

W styczniu '98

Dwie kreski. Co mogą oznaczać dwie kreski na kawałku plastiku? Tylko jedno, witaj, moja kolejna roślino szczipająca mnie z tutejszym miastem. Urodzisz się za kilka miesięcy, pójdiesz do szkoły, będziesz miała koleżanki stąd, a pochodzenie twojej mamy będzie już tylko odległym wspomnieniem jej poprzedniego życia... Póki co mdłości, smutek, deszcz leje się po szybach łzy spływają po mojej twarzy. Piękny moment, ale czy podołam? On zabiera mnie na koncert Kayah do Słupska. Wspaniały, pierwszy raz jestem bez dziecka od jego narodzin. Za to mam przy sobie drugie. Chwilowo jest ze mną na stałe. Moje poznane już dziecko staje się całkowitym tyranem, nie śpi od narodzin, nie można przecież nazwać snem takich kilkunastominutowych regenerujących ją drzemek? Więc cieszę się tym bardziej, że udało mi się ją komuś podrzucić.

W lipcu '98

Rozpaczam sezon pływacki na jeziorze Lubowidz. Czuję jak dziecko unosi mnie w swoim pęcherzu wodnym ponad taflę, cudownie relaksuję wszystkie mięśnie i siebie - dość spiętą - samą.

Kocham pływanie, docieram tu na rowerze, z braku samochodu i wielkiej niechęci do komunikacji miejskiej i wiecznie przepętnionej „czwórki”. Kupuję sobie telefon komórkowy, ale... nie mam do

kogo dzwonić, bo nikt takowego nie posiada. Rozmowy na stacjonarne kosztują majątek. Moja starsza opowiada wszystkim, że „pilot dzwoni”. Nieco później...

Tydzień pełen emocji. Burza zwiastująca różnorodność dzisiejszych wydarzeń.

Są dziadkowie, a więc mamy transport! Zwiedzamy Słowiński Park Narodowy i mamy pierwszą niedzielę, kiedy ja i On możemy iść za rękę. Dzieckiem zajmują się dziadkowie. Jarmark św. Jakuba, balony, koncert Antoniny Krzysztoń. Mnóstwo pozytywnych wibracji. Wspaniałe stragany wokół, wszędzie tak ludowo, Derdowskiego zamienia się w mały kram ze starociami i rękodzielnictwem. Brawo ojcowie franciszkanie!

Jakby w opozycji Inwazja Mocy i koncert Republiki - wspaniale można pochylić czoła nad geniuszem Grzesia Ciechowskiego oraz O.N.A., który to koncert określić może jedno słowo: bełkot! Wszędzie pijana młodzież, nie, nie jest to miejsce dla kobiety w ciąży, no ale Republika... nie mogłabym tego przeboleć.

„Czas to wszystkożerna świnią” tyle Łysiak. Zgadza się z nim, tym bardziej, że zbliża się jesień.

W październiku '98

Idę na oddział, wszystkim zapowiedziałam, że urodzę dziś, muszę dotrzymać słowa, zabieram oszołomionego męża, wojny i porodu nie przewidzisz, tak, kochanie, to już dziś, obdzwaniam przyjaciółki, tradycyjnie się najadam, zapewniam starszej opiekę i już. Siedzę pod prysznicem, wchodzę do wanny, nie na darmo szpital lęborski ma odznakę szpitala przyjaznego dziecku, prawdopodobnie urodzę za kilka godzin. Boję się. Niespodzianka.

Czteropółkilogramowa dziewczyna przyszła na świat po niedługich mękach tym razem, pół godziny po tej deklaracji... Znów ta atmosfera filmu, ale tym razem nie dramatu produkcji polskiej, a swoistego Bollywoodu, świadome wydanie na świat człowieka, bez widzeń, bez szaleństwa, w chwili, kiedy już dość miałam swojej ciąży, chcąc by mięśnie i skóra wróciły na swoje miejsce. Niestraszny mi baby blues, mam coś w rodzaju euforii poporodowej i rany szarpane, ogólne niewyspanie oraz ból rąk, nóg i głowy dają znać o sobie dopiero dwie doby po narodzinach mojej drugiej córki.

Chcę wrócić do domu z moim małym żarłokiem, pragnę znów się podobać, nałożyć makijaż, biżuterię, ciekawe czy wejdę w swoje ciuchy. Ciekawe też, ile potrwa ten stan... Choć dziecko płacze i nie chce być karmione piersią, nie poddaję się, wykarmiłam jedno, wykarmię i drugie. Boże, zlituj się i daj mi siłę!

Chrzczimy jakiś czas potem. Uspokaja się, egzorcyzmy zadziałały, wierzyłam, że Bóg nas nie opuści.

Epilog

Po wielu latach... Co mam? Kim jestem? Czy moje nowe miasto jakoś mnie zapamięta, gdy mnie już nie będzie? Miasto, w którym się zakochałam, mam tu wydeptane ścieżki, chodzę tymi drogami codziennie, skupienia szukam w kościele, tu również niezmiennie siedzę w tym samym miejscu patrząc na zmieniający się wystrój kościoła św. Jakuba.

Ziemia ta przyjęła moje łzy, a drzewa w okolicy słyszały niejednokrotnie śmiech... Wycieczka retrospektywna na mentalnym biegu wstecznym kosztowała mnie wiele wysiłku, musiałam zajrzeć w

głęb siebie samej, by ocenić wszystko, co się wydarzyło, swoisty bilans zysków i strat. Na pytanie: czy ponownie zrobiłabyś to samo, czy po raz drugi chciałabyś przejść przez identyczne koleje losu, odpowiadam na szczęście TAK!

Miasto przyjęło mnie, przemieliło nieco, ale nie wypuściło, nie oddało. Tak jak chciałam, moje dzieci chodzą tu do szkoły, są moim pomostem, swoistymi korzeniami, które wiążą mnie z tym miejscem. Jestem stąd? Nie. Ale jestem tutejsza. Już. Czuję to.